

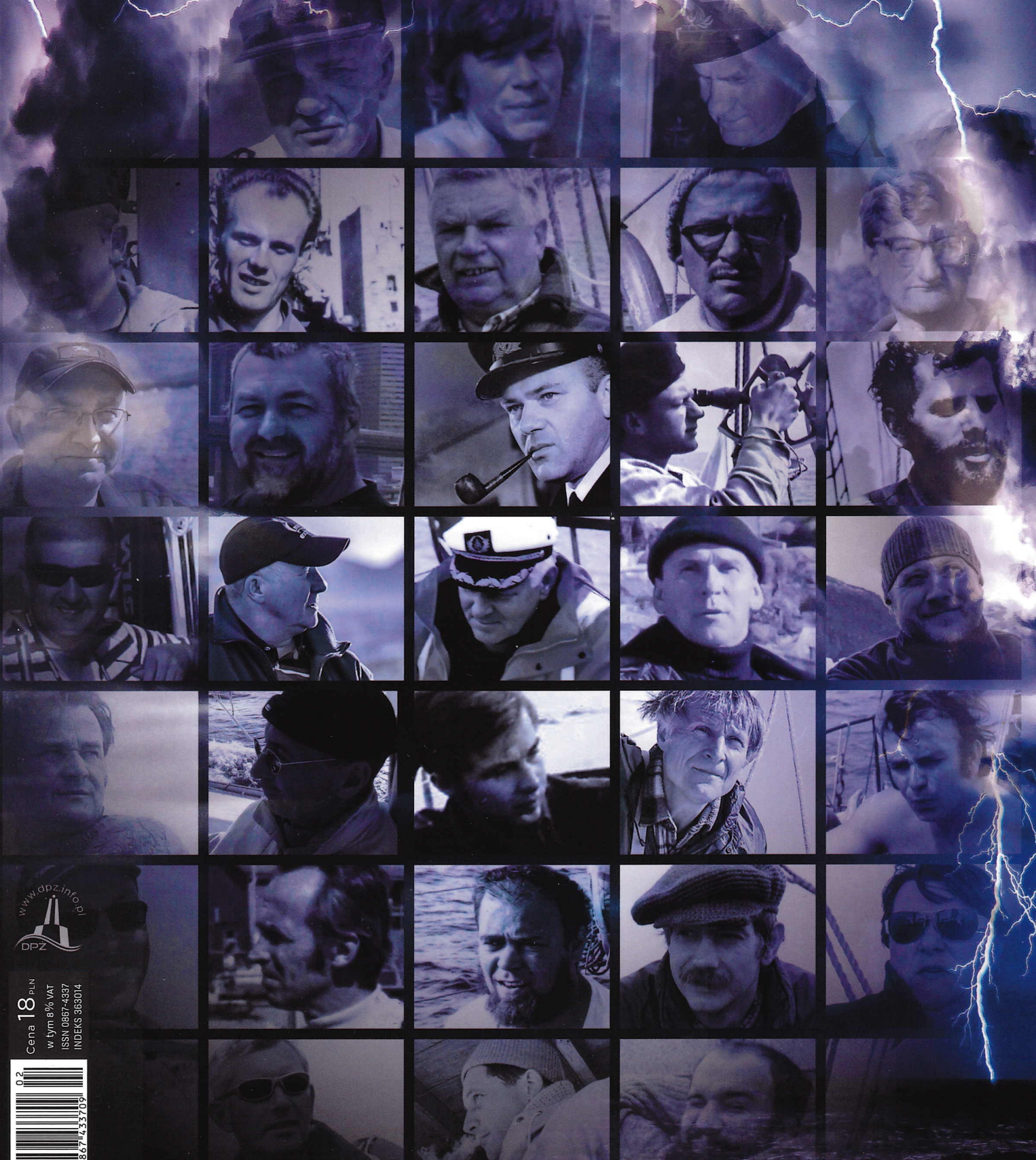
1/2
2026

JACHTING

WWW.JACHTING.COM



AZIMUTH
casual yachting clothing



Cena 18^{PLN}
w tym 8% VAT
ISSN 0867-4337
INDEKS 363014



SALON KAPITAŃÓW

NOWY AKWEN – WYSPY LIPARYJSKIE

W tym roku postanowiliśmy na majówkę nie jechać do Chorwacji, ale poznać nowy akwen. Wybór padł na Wyspy Liparyjskie. Jarek był tam już wcześniej na wycieczce „lądowej” i zareklamował nam je. Ponieważ Gosia również namawiała nas na południowe Włochy, decyzja mogła być jedna – płyniemy tam w majówkę!



Kpt. Sławomir
Michałowski

fot. arch. autor /
Weronika Michałowska

Wyspy Liparyjskie to wyspy wulkaniczne leżące w odległości od 13 do ponad 37 mil morskich na północ od Sycylii, na Morzu Tyrreńskim. To grupa siedemnastu wysp i wysepek pochodzenia wulkanicznego. Największe z nich to Lipari (największa z wysp, ze stolicą regionu, miastem Lipari), Salina, Vulcano, Filicudi, Alicudi, Panarea, Basiluzzo oraz Stromboli (tak, to ten znany wulkan!).

Inna, wcześniejsza nazwa tych wysp to Wyspy Eolskie (wł. *Isole Eolie*). Według mitologii greckiej to właśnie tutaj, na tych wyspach, mieszkał bóg wiatrów Eol i stąd, z polecenia Zeusa, rządził wiatrami. Według *Odysei* Odyseusz odwiedził Wyspy Eolskie, gdzie bóg wiatrów udzielił mu gościny i dał worek z zamkniętymi w nim niekorzystnymi wiatrami. Gdy Odyseusz odpłynął z wysp, ciekawość zwyciężyła i razem z załogą otworzył worek,





co spowodowało, że zostali z powrotem zepchnięci przez niekorzystny wiatr na Wyspy Eolskie. A zatem musimy sprawdzić, co tam widział Odyseusz i czy spotkamy boga wiatrów Eola.

Miejsce odbioru jachtu to Marina Portorosa na Sycylii. Jest to już zdecydowanie za daleko, by jechać tam z Polski samochodem. Jedyny sensowny środek transportu to samolot. Tak więc ruszamy do Katanii z lotniska Warszawa Modlin.

Na lotnisko przyjeżdżamy w sobotę, 26 kwietnia 2025 roku, o godzinie trzeciej nad ranem. Chwilę czekamy na uruchomienie stanowisk odprawy (nasz lot jest pierwszy tego dnia), nadajemy bagaż, przechodzimy kontrolę bezpieczeństwa i czekamy na otwarcie bramki. Po pewnym czasie bramka zostaje otwarta i wsiadamy do samolotu. Przed startem samolot przechodzi jeszcze odladanie i ruszamy do Włoch. Trasa naszego lotu prowadzi nad Chorwacją. Nad Adriatyk wlatujemy między Splitem a Szybenikiem. Z samolotu obserwuję wyspy Hvar, Brač i Lastovo. Wyspy, które wielokrotnie odwiedzałem jachtem.

Po pewnym czasie, schodząc do lądowania w Katanii, podziwiamy z powietrza Etnę. Po opuszczeniu lotniska wsiadamy do zamówionego wcześniej mikrobusa i jedziemy 150 km z Katanii do mariny Portorosa. Trasa jest ciekawa, bo wiedzie autostradą wzdłuż brzegu Cieśniny Mesyńskiej, która oddziela Sycylię od kontynentu. W oddali, po drugiej stronie cieśniny, widać wysokie brzegi czubka buta włoskiego.

Do mariny przyjeżdżamy ok. godziny 1300. Jemy śniadanie-lunch w lokalnej pizzerii. Na spokojnie robimy zakupy rejsowe w małym, ale dobrze zaopatrzonym sklepie w marinie i dokonujemy odbioru jachtu. Około 1700 mamy już zakończone wszystkie kwestie formalne i techniczne, więc powoli przygotowujemy kolację, którą jemy w kokpicie. Prowadzimy nieśpieszne

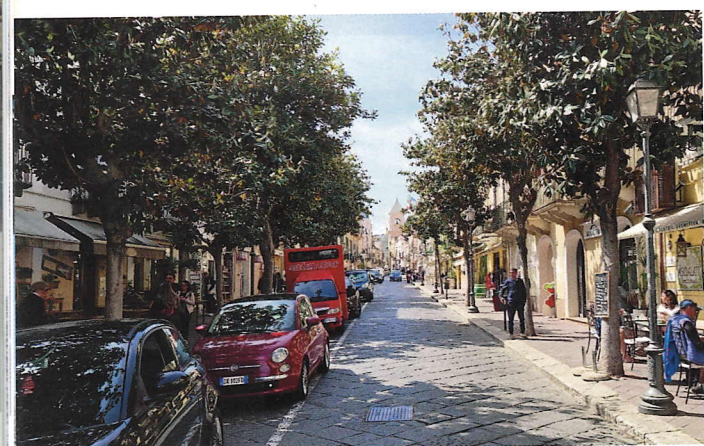
rozmowy na luźne tematy, ale wcześniej kładziemy się spać. Trzeba odespać baaardzo długi dzień.

Nasz jacht to Dufour 470 o długości 14,85 m, noszący nazwę „Plumeria”, z portem macierzystym w Neapolu. Dotychczas jeszcze nigdy nie pływałem pod włoską banderą!

Ponieważ dwóch kolegów z przyczyn losowych nie przyjechało na rejs, to mamy luz na pokładzie. W kabinach rufowych śpią Weronika z Klaudią oraz Jarek z Asią. Ja i Gosia zajmujemy po jednej kabynie dziobowej, zaś Mateusz śpi w mesie. Luźno, a gdy dodam jeszcze, że każda kabina ma własną łazienkę z prysznicem i że na pokładzie są klimatyzacja, generator oraz odsalarka, to widać, że mamy pływający hotel.

W niedzielę budzimy się ok. 0800. Po porannej toalecie i śniadaniu wychodzimy z portu. Piękna, słoneczna pogoda i wiatr 8–9 węzłów. Stawiamy żagle i idziemy w kierunku wyspy Vulcano. Fajna żegluga w pięknym słońcu. Najpierw idziemy, mając po lewej burcie pasmo sycylijskich gór. Na jednym z wysokich wzgórz stoi chyba zamek albo klasztor. Z oglądu mapy wynika, że to jest zamek Castello di Oliveri. W słońcu błyszczą jego dachy. Idąc dalej, w pewnym momencie spotykamy stadko delfinów. Płyną wesoło, wyskakując z wody obok nas i przed naszym dziobem. Niestety, nie udaje nam się zrobić zdjęć. W oddali po prawej stronie widzimy Stromboli. Z krateru wulkanu na szczycie wydobywa się gęsty obłok dymu.

Po pewnym czasie podchodzimy do Vulcano. Wyspa, jak wskazuje na to jej nazwa, jest tak naprawdę wulkanem. Chcemy zacumować w marinie, która jest zaznaczona w locji, ale po dotarciu na miejsce okazuje się, że niestety marina jest jeszcze nieczynna i nie ma zwodowanych pomostów. Sama wyspa jest niesamowita: strome zbocza porośnięte roślinnością, a przy



samej wodzie strome klify nagich skał. Na wierzchołkach widać dymy unoszące się z kraterów wulkanów. Wyspa zrobiła na nas duże wrażenie, bo zobaczyliśmy ją jako pierwszą. Z czasem jednak nieco przywyknijemy do takich monumentalnych widoków. Ponieważ nie udaje nam się tutaj zacumować, na silniku przeskakujemy na sąsiednią wyspę, do Lipari. Po drodze mijamy pojedyncze skały sterczące prosto z morza oraz promy i wodoroloty idące do lub z Lipari.

Wchodzimy do mariny Porto Pignataro. Marinero na pontonie wskazuje miejsce do cumowania i asystuje przy cumowaniu, ale nie przeszkadza w tym manewrze. W porcie stoi kilkanaście jachtów oraz kilka replik drakkarów, czyli łodzi Wikingów. Czy jesteśmy świadkami jakiegoś najazdu? To oczywiście żart. Okazuje się, że to repliki łodzi, ale nie Wikingów, lecz Normanów, w okolicy kręcony jest bowiem jakiś film. Ale co wspólnego mają Normanowie z wyspami? Okazuje się, że w IX wieku, gdy Arabowie zdobyli Sycylię, opanowali również Morze Tyrreńskie i zniszczyli Lipari. W latach 1060–1090 to właśnie Normanowie wypędzili Arabów z Sycylii i ponownie zaludnili Wyspy Liparyjskie.

Po zacumowaniu oraz załatwieniu formalności w biurze mariny idziemy do Lipari. Lipari jest stolicą Wysp Liparyjskich. To malownicze miasteczko zdominowane jest przez stojące na wysokim na klifie zamek i Katedrę San Bartolomeo z XVI wieku. Samo miasteczko jest sympatyczne. Idziemy główną ulicą, a raczej uliczką, zamienioną w niedzielę w deptak. Po obydwu stronach są liczne kawiarenki lub restauracyjki na parterach małych, dwu – lub trzypiętrowych kamieniczek w pastelowych kolorach. Od głównej ulicy odchodzą bardzo wąskie uliczki, a raczej zaułki. Skręcamy w jeden z nich i wąskim labiryntem ścieżek między ścianami kamieniczek dochodzimy do placzyku, przy którym kotwiczymy w miłej restauracyjce. Na kolację jemy różne lokalne specjały, np. spaghetti a'la Eolian, kalmara faszerowanego czy też świeże krewetki. Do tego karafka wina domowego. Po kolacji wracamy na jacht, idąc malowniczo oświetlonymi uliczkami miasteczka.

Poniedziałkowy rano wita nas pięknym słońcem. W marinie zaczyna się ruch. Na łodziach Normanów grających w filmie zaczynają się pojawiać ludzie, ale to obsługa techniczna, a nie aktorzy w strojach z epoki. Szkoda, bo byłby to fajny widok. Po śniadaniu raz jeszcze idziemy do miasta. Tym razem będzie sesja zdjęciowa. Asia będzie robiła fotografie artystyczne Weronice i Klaudii. W czasie gdy trwa sesja, ja i Gosia idziemy na wzgórze obejrzeć Katedrę San Bartolomeo. Po dotarciu na miejsce okazuje się, że to cały kompleks muzeum archeologicznego. Zwiedzamy katedrę, podziwiając piękne malowidła przedstawiające sceny biblijne, pokrywające całe sklepienie nawy głównej. Wokół kościoła są eksponowane fundamenty zabudowań z VI–IV w. p.n.e. oraz III–II w. p.n.e. Od kościoła, tarasem nad klifem, dochodzimy do murów obronnych starej twierdzy. Przechodzimy przez bramy i wąskie korytarze murów obronnych. Wg informacji umieszczonej na murach ich fundamenty



pochodzą z VII w., a wyższe partie z XVI w. To efekt przebudowy dokonanej z rozkazu Hiszpanów po zniszczeniach, których dokonał w 1544 roku turecki admirał Barbarossa.

Kończąc spacer po murach, spotykamy się z resztą załogi. Siadamy jeszcze w małej kawiarence, aby się czegoś napić, i z drobnymi zakupami wracamy na jacht. Uzupełniamy wodę, wychodzimy z mariny i idziemy w kierunku Stromboli. Mijamy wyspę Panarea, gdzie na brzegu obserwujemy liczne domki przypominające raczej miasteczka greckie niż włoskie. Opływamy wysepkę Dattilo, która jest samotną, bezludną skałą, stromo wznoszącą się z morza. Następnie płyniemy wzdłuż wysokich na kilkadziesiąt metrów skalistych klifów wyspy Basiluzzo. W słońcu robią imponujące wrażenie. Ciekawe formy skalne, widać różne warstwy geologiczne, które do tego są jeszcze przez wieki rzeźbione przez deszcz i wiatr.

Teraz następną wyspą na naszej trasie jest Stromboli. Do wulkanu mamy 10 mil. Stromboli to wielka góra w kształcie stożka. Im bliżej jej jesteśmy, tym bardziej widać, jak jest duża. Gdy idziemy blisko brzegu, można zauważyć, jak jest ogromna i jak strome ma zbocza. Są one porośnięte niską zieloną roślinnością i pokryte żlebami. Blisko wierzchołka nie ma zieleni, tylko szary pył wulkaniczny.

Stajemy na kotwicy po wschodniej stronie wyspy, przy miasteczku Stromboli. Tutaj Gosia i Weronika kąpią się w morzu pod wulkanem. Jemy kolację w kokpicie z widokiem na wulkan oraz

stojące na brzegu białe domki. Czekamy na noc, aby przemieścić się do miejsca dogodnego dla nocnych obserwacji erupcji wulkanu.

Z kotwicy schodzimy ok. godziny 2100 i powoli zmierzamy do obszaru na północny wschód od wyspy, skąd wg locji jest najlepszy widok na erupcje. Co jakiś czas słychać tępy huk i w niebo wzbija się niewielki gejzer lawy, która pięknie świeci czerwonym światłem na czarnym, nocnym niebie. Takie mikroerupcje powtarzają się co 10–20 minut. Zauważamy, że ich częstotliwość i intensywność z czasem maleją. Za to na drugiej części nieba, nad Sycylią, obserwujemy piękne i majestatyczne wyładowania atmosferyczne. Co chwila pioruny rozświetlają niebo i rozbudowane chmury kłębiaste. Można nawet odnieść wrażenie, że Ziemia przemawia poprzez wulkan, a niebo odpowiada jej błyskawicami. Jesteśmy świadkami wspaniałego spektaklu sił natury.

O północy Weronika (oficer) razem z Klaudią obejmują wachtę, tak więc od północy do 0300 samodzielnie prowadzą jacht, podczas gdy reszta załogi śpi. O 0300 zmieniam je i do rana, do wejścia do mariny na wyspie Salina w pojedynkę prowadzę jacht. Podczas mojej wachty ma miejsce wschód Słońca. Idę wówczas wzdłuż wyspy Lipari w kierunku pobliskiej wyspy Salina. W promieniach wschodzącego Słońca wulkaniczne wzgórze wysp wygląda przepięknie. Dodatkowo niesamowitego efektu dodają białe chmury spływające z niektórych stoków gór. Bo każda wyspa to góra lub góry wygasłych lub aktywnych wulkanów.

Do mariny w miasteczku Santa Marina wchodzimy przed godziną 0800. Cumujemy, ale musimy poczekać na otwarcie biura. Dzisiaj spędzimy tutaj cały dzień, więc nieśpiesznie jemy na pokładzie śniadanie i pijemy kawę. Około 1400 ja, Klaudia i Weronika idziemy obejrzeć miasteczko. Jest ono bardzo malownicze. Jak można przeczytać w przewodnikach, „Salina jest jednym z bardziej magicznych i urokliwych miejsc Sycylii”. Przy placyku z małym kościółkiem zaczyna się promenada. Prowadzi ona wzdłuż wybrzeża, którego plaża składa się z dość dużych kamieni. Równoległe do promenady wiedzie uliczka, przy której stoją malownicze domki.

Skręcamy przy posterunku karabinierów i pniemy się wąską uliczką w górę. Wszędzie rosną kolorowe kwiaty albo drzewa cytrynowe, pomarańczowe lub liczi. Dochodzimy do głównej uliczki miasta, która jest deptakiem. To również wąska uliczka, o szerokości 4–5 m, po obu stronach szczelnie zabudowana 2-, 3-piętrowymi kamieniczkami. Zatrzymujemy się w milej restauracyjce, gdzie na tarasie z widokiem na morze jemy cannoli i popijamy kieliszkiem malvasji, czyli białego słodkiego wina (po polsku: małmazja). To wino jest wytwarzane na tej wyspie. Malvasia oraz kapary i oliwki od wielu lat są głównym produktem eksportowym Saliny.

Po przerwie idziemy dalej deptakiem, mijając liczne sklepiki umiejscowione w parterach kamieniczek. Są to sklepiki z pamiątkami, ale i spożywcze, z artykułami przemysłowymi, metalowymi, warzywami. To, co rzuca się w oczy, to liczne koty wylegujące się na ulicach i placykach. Wygląda, jakby opanowały miasto, bo praktycznie nie widać psów ani innych zwierząt.

Wracając na jacht, przy placyku przy przystani promowej oglądamy pomnik. Upamiętnia on ofiary zatonięcia statku „Santamaria” 9 maja 1943 roku. Na pomniku oprócz daty i nazwisk ofiar nie było napisane nic więcej. Ponieważ katastrofa miała miejsce podczas II wojny światowej, musiałem sprawdzić, co wówczas tak naprawdę się wydarzyło. Historia II wojny na morzu to moje drugie hobby. A zatem jakie były okoliczności zatonięcia tego statku?

Statek „Santamaria” (wg innych źródeł: „Santa Maria Salina”) był małym statkiem żeglugi przybrzeżnej, utrzymującym komunikację między poszczególnymi wyspami oraz między wyspami a Sycylią. Był nieuzbrojony i służył celom cywilnym. W niedzielę 9 maja 1943 roku po południu statek wyruszył z Vulcano i dziewięć mil od Lipari, około 400 m od Punta Bandiera, o godzinie 1548 został storpedowany bez ostrzeżenia przez brytyjski okręt podwodny HMS „Unrivalled”, którym dowodził por. H.B. Turner. Torpeda uderzyła w śródokręcie, na wysokości maszynowni. Spowodowało to przełamanie się statku i jego zatonięcie w ciągu kilku minut. Okręt brytyjski nie tylko nie udzielił pomocy rozbitkom, ale jeszcze bezskutecznie zaatakował torpedą niemiecki kuter patrolowy, który przybył na miejsce i rozpoczął akcję ratunkową. W wyniku zatonięcia statku „Santamaria” zginęło 48 osób, a 46 zostało uratowanych. Ocena, czy takie

zachowanie brytyjskiego okrętu wyczerpuje znamiona zbrodni wojennej na morzu pozostawiam do indywidualnej oceny Czytelnika. Wojna również na tych spokojnych i słonecznych wysepach odcisnęła swoje piętno.

Wieczorem idziemy ponownie do miasteczka, ale już całą załogą. Znowu spacerujemy malowniczymi uliczkami. Pod jedną z restauracji siedzi spora grupa kotów, przyglądając się przechodniom. Idziemy kawałek dalej, a tam w ogródku pasie się brązowa koza. Na kolację idziemy do tej samej restauracji, w której byliśmy w ciągu dnia. Zamawiamy różne potrawy: pieczone ośmiornice, miecznika z grilla, roladki z miecznika. Do tego sałatki, a na deser kawa lub tiramisu. Restauracja jest pełna gości, bo oprócz nas są jeszcze załogi z dwóch innych jachtów, w tym inna polska załoga. Po dobrej kolacji powoli wracamy na jacht. Uliczki są ładnie oświetlone i oczywiście sporo jest na nich kotów. Po powrocie siedzimy jeszcze pewien czas w kokpicie, a następnie idziemy spać.

Nazajutrz rano robimy zakupy uzupełniające: pieczywo i pomidory. Po śniadaniu wychodzimy z portu. Pogoda jest taka sama jak we wszystkie dotychczasowe dni: niebieskie bezchmurne niebo, temperatura ponad 20 st. C i lekki wiaterek. Niestety, jego kierunek nie pozwala nam płynąć na żaglach. Optywamy wyspę Selina i rozpoczyna się sesja fotograficzna: Weronika i Klaudia przebierają się w suknie z długimi trenami. Na pokładzie dziobowym, na tle postawionego foka, Asia robi modelkom zdjęcia. Trochę to trwa, ale nie ma pośpiechu. Idziemy z prędkością 1 węzła, takim kursem, by Słońce było pod odpowiednim kątem do żagla i modelek.

Po zakończeniu sesji ruszamy w kierunku wyspy Filicudi. Po-dziwiamy malowniczy przylądek (capo) Graziano. Idziemy blisko majestatycznej góry tworzącej wyspę i dochodzimy do groty Blue Marino. Są to w zasadzie dwie spore groty tuż obok siebie. Z innego jachtu, który tu już jest, zwodowali ponton i wpłynęli do groty, ale widać było, że nie ma jakichś głębszych



zakamarków, bo głębiej nie wplynęli. Dlatego zrezygnowaliśmy ze zrzucenia na wodę naszego pontonu. W zamian podplynęliśmy jachtem prawie pod samą grotę. Robi ona wrażenie, zwłaszcza lazurowa woda poblyskująca wewnątrz groty. Po zrobieniu zdjęć ruszamy w dalszą drogę. Tuż obok grot stoi skała z otworem w środku. Wygląda jak łuk triumfalny, których tak wiele zbudowali Rzymianie.

Żeglujemy w kierunku najbardziej na zachód wysuniętej wyspy liparyjskiej, do Alicudi. Mijamy wylaniającą się z morza skałę „La Canna”, iglicę wyrastającą na wysokość 85 m nad poziom morza. Taki ogromny słup skalny wystający z morza. Ciekawa forma skalna.

Dopływamy do wyspy Alicudi i opływamy ją przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Idziemy stosunkowo blisko zboczy góry i podziwiamy imponujące widoki urwisk, żlebów, nawisów skalnych.

Stajemy na kotwicy na wysokości wioski Alicudi. Mieszka tam ok. 100 mieszkańców i w zasadzie nie znajdziemy tam drogi. Na wyspie czas jakby się zatrzymał. Nie ma dużych hoteli, nie ma żadnej mariny ani pomostu do zacumowania jachtu. Jest jedynie nadbrzeże, przy którym cumuje prom. Więc wyspa jest nieco odizolowana turystycznie od reszty archipelagu.

Chwilę po zakotwiczeniu, gdy chcemy podelektować się ciszą sielankowego otoczenia, przylatuje mały helikopter i ze stojącej na brzegu ciężarówki przenosi worki z materiałami budowlanymi do domu, który znajduje się wysoko na stoku góry. Byłoby fajnie, gdyby nie to, że helikopter robi zwis około 30 m od nas, a następnie oblatuje nas, lecąc bardzo nisko. Przez około 20 min mamy straszny huk. Kotwica trzyma, ale nie na tyle pewnie, by spędzić na niej noc bardzo blisko brzegu (kilkanaście metrów od linii brzegowej głębokość wynosi już powyżej 100 m). Nie ma żadnej kei dla jachtów, ale jedynie pomost dla promów. Ponieważ dzisiaj już żaden prom nie przypłyne, a nazajutrz pierwszy będzie o 0615, decydujemy na noc stanąć przy przystani promowej, a rano odpłynąć, zanim przyjdzie pierwszy prom. Po zacumowaniu idziemy obejrzeć miejscowość. W zasadzie są to domki stojące przy przystani promowej oraz wzdłuż kamienistej plaży. Na plaży stoją wyciągnięte z wody małe łódki rybackie.

Na kolację idziemy do lokalnej restauracyjki. To prosty, parterowy biały budynek z zadaszonym tarasem, na którym stoją plastikowe stoły i krzesła. W lokalu siedzi już kilku lokalsów.

Gdy wchodzi jakaś kolejna osoba, wszyscy się witają, bo to są sami znajomi, mieszkańcy wyspy. Gdy my wchodzimy do lokalu, na chwilę zapada cisza. Wszyscy przez moment patrzą na nas, a następnie wracają do swoich posiłków i rozmów. Scena trochę jak ze starych westernów, gdy obcy wchodzi do saloonu.

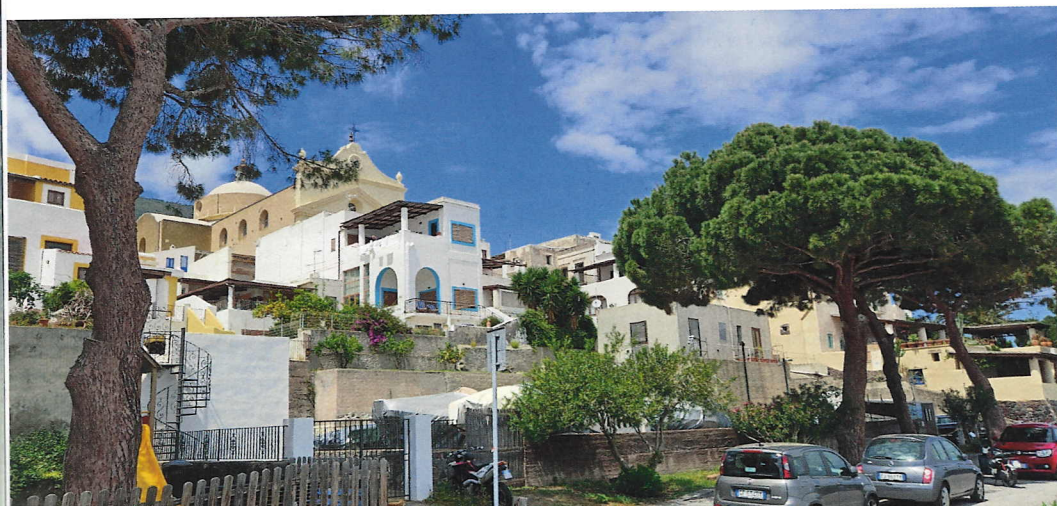
Po zajęciu przez nas stolika właściciel knajpki przykrywa go obrusem, a następnie przychodzi kelnerka, by przyjąć zamówienie. Problem jest taki, że nie mają żadnego drukowanego menu, a pani mówi wyłącznie po włosku, żadnego pojedynczego słowa po angielsku. Z pomocą Ani i Gosi (hiszpański z elementami włoskiego) udaje się zamówić makaron z kalmarami i karafkę domowego wina. Posiłek smaczny i do tego spożyty w oryginalnej lokalnej knajpce, nietkniętej stopą turystów.

Z Aliculi odchodzimy tuż przed 0600. Będąc już w pewnej odległości od wyspy, widzimy prom podchodzący do przystani. Przypłynął prawie punktualnie. My natomiast idziemy swoim kursem w kierunku wyspy Vulcano. Znowu na silniku, gdyż panuje kompletna flauta. W pewnym momencie wokół nas zaczyna figlować stadko delfinów. Pokazują grzbiety, a jeden nawet wyskakuje ponad wodę. Dzieje się to tak szybko, że nie udaje się nam zrobić żadnego zdjęcia. Po kilku minutach odpływają w swoją stronę. My natomiast jemy śniadanie w kokpicie i po pewnym czasie wchodzimy do zatoczki przy Vulcano, gdzie rzucamy kotwicę. Chwila relaksu na pokładzie i wodujemy ponton.

Weronika pontonem przewozi załogę na ląd i idziemy zwiedzać wyspę. Vulcano to mała miejscowość. Spacerujemy wąskimi drózkami między domami i ogródkami. Dochodzimy do centralnego punktu miejscowości, czyli do przystani promowej. Tam już jest sporo ludzi, głównie turystów. Są restauracyjki, sklep spożywczy i mnóstwo sklepów z pamiątkami. Siadamy w kawiarni na lody i espresso. Co chwila dociera do nas nieprzyjemny zapach. Okazuje się, że nieopodal są skały z dużą zawartością siarki. Idąc drogą między ścianami siarki, dochodzimy do jeziora z płynną siarką. Jest ono ogrodzone i nie ma do niego wstępu.

W całej miejscowości stoją ciekawe znaki. Informują one, gdzie są miejsca zbiórki do ewakuacji w przypadku erupcji wulkanu, którą prowadzi droga ucieczki, jak się zachować, gdy nagle zobaczy się martwe zwierzęta albo chmurę gazu.

Siadamy na chwilę na plaży. Piasek jest czarny i składa się z granulek skał wulkanicznych. Gdy chodzimy po miejscowości, góruje nad nami wulkan. Na jego szczycie cały czas wydobywa



się dym. Po kilku godzinach spaceru wracamy na jacht. Mimo że pierwotnie planowaliśmy nocować na kotwicy w tej zatoczce, to musimy z tego zrezygnować. Nie mamy pewności, że kotwica trzyma mocno, a jest wiatr, który może spowodować wleczenie kotwicy. Decydujemy się więc iść na nocleg do mariny w sąsiednim Lipari, gdzie cumujemy ok. 1900. Wieczorem robimy jeszcze spacer do Lipari na lody.

Gdy na początku rejsu byliśmy w Lipari pierwszy raz, to miasteczko wówczas wydawało nam się małe. Teraz, po pobytach w Selinie i Aliculi, Lipari jawi nam się jako metropolia z dużą liczbą ludzi na ulicach, wieloma sklepami, ruchliwymi skrzyżowaniami i intensywnym ruchem samochodowym. Jak widać, pojęcie „duże miasto” jest pojęciem względnym i zależy od tego, co z czym porównujemy.

Z Lipari wyruszamy w piątek przed godziną 0800. Nie ma wiatru, więc do Portorosy idziemy na silniku. Mijamy kilka łowiących kutrów rybackich. Zbliżając się do brzegów Sycylii, obserwujemy Etnę. Na jej czubku widać obłoki dymu.

Wchodzimy do mariny Portorosa i tankujemy 100 l ropy. Po zatankowaniu idziemy jeszcze kawałek kanałem portowym i stajemy na naszym miejscu. Pakujemy się, porządkujemy jacht i mamy jeszcze 2 godziny do odbioru jachtu. Siedzimy sobie w kokpicie, spożywamy lokalne napoje i spokojnie czekamy „w ładnych okolicznościach przyrody”. Odbiór jachtu trwa krótko i o 1500 jedziemy już busem do Katanii.

Ponownie jedziemy autostradą wzdłuż wybrzeża, wzdłuż Cieśniny Mesyńskiej. Wjeżdżamy do Katanii. Najpierw są nowe domy, ale im głębiej w miasto, tym domy coraz starsze, zabudowa staje się coraz bardziej zwarta, a ulice coraz węższe. Siedzę obok kierowcy i widzę, że prowadzenie samochodu jest tutaj wyzwaniem. Co chwila z bocznych uliczek, prawie pod koła, wyskakują skutery. Kierowcy skuterów prawie się nie rozglądają, tylko wyjeżdżają na skrzyżowanie. Ulice są tak ciasne, że jedziemy między zaparkowanymi samochodami, zachowując odstępy mierzone w centymetrach. Oczywiście w każdej chwili mogą otworzyć się drzwi zaparkowanego samochodu i ktoś zacznie wysiadać na ulicę, prosto pod nasze koła. Samochody nie używają w zasadzie kierunkowskazów i na skrzyżowaniach kto odważniejszy, ten wjeżdża pierwszy, wymusiwszy pierwszeństwo.

Dojeżdżamy do miejsca naszego noclegu. Budynek jest stary i ma zaniedbaną fasadę, a brama to wielka drewniana furta

pomazana sprayem. Wchodzimy i na właściciela czekamy w bramie. Tutaj w wielu miejscach odpadł tynk i widać stare gołe cegły. Do ściany są nierówno przymocowane liczniki energii elektrycznej, a po ścianach pełza spaghetti nowszych i starszych kabli. Przychodzi właściciel i wprowadza nas do pokoi. Generalnie jest OK, wyposażenie jest minimalistyczne, co nie jest dla nas problemem. Problemem natomiast jest dla mnie łóżko. Jest stanowczo za krótkie, a na końcach są metalowe sztachety. Ale jak się później okazało, dało się na nim wygodnie spać.

Idziemy obejrzeć miasto. Via Etna – ulica, przy której mieszkamy – prowadzi wprost do głównego placu miasta. Na ulicy jest dużo ludzi i spory ruch samochodowy. Wstępujemy do pobliskiego parku. Jest tam pagórek z altaną na szczycie. Wchodzimy tam i w oddali widzimy Etnę. Wracamy na ulicę. Kamienice pochodzą w większości z XIX lub początku XX wieku. Dochodzimy do placu, przy którym są odkryte ruiny starożytnego amfiteatru. Odbijamy od głównej ulicy i siadamy w restauracyjce, która stoliki ma rozstawione praktycznie na schodach starego kościoła. Zamawiamy pizzę. Weronika zamawia pizzę o nazwie „Emanuele Filiberto”. Okazuje się, że to pizza, która była przygotowana dla księcia Emanuele Filiberta podczas jego wizyty w tej restauracji (Emanuele Filiberto jest tytularnym księciem Wenecji i Piemontu oraz następcą tronu włoskiego jako wnuk ostatniego króla Włoch, Wiktora Emanuela). W środku restauracji wiszą zdjęcia z tych odwiedzin.

Po posiłku chodzimy historycznymi zaułkami, mijając wiele starych kamienic i kościołów. Przechodzimy przez placik otoczony kamieniczkami z podcieniami, w których rozlokowały się restauracje. Zresztą tutaj, w każdym zaułku, w każdej bocznej uliczce są restauracyjki, często zajmujące całą szerokość ulicy.

Dochodzimy do głównego placu starego miasta, Placu Katedralnego (Piazza del Duomo), przy którym stoi piękna, barokowa Katedra św. Agaty. Wokół placu stoją zabytkowe domy. Plac przypomina mi trochę Plac św. Marka w Wenecji. Spacerujemy wokół placu i zaczynamy wracać do hostelu. W drodze powrotnej siadamy jeszcze na cannoli pistacjowe i sok pomarańczowy. Na moment wchodzimy do parku, by zobaczyć Etnę w nocy. Niestety, nie widać żadnych erupcji, ciemno, żadnego ognia. Po prostu ciemna góra. Kończymy spacer, gdyż nazajutrz musimy wcześniej wstać na nasz lot.

W sobotę pobudkę robimy o 0500, a o 0600 czekają już na nas taksówki. Jedziemy na lotnisko. Przejazd trwa krótko, bo o tej porze nie ma praktycznie żadnego ruchu. Sprzed wejścia do terminalu jest ładny widok na Etnę. Znad krateru unosi się dym, który w promieniach wschodzącego Słońca ma różowy kolor. Odprawiamy się w hali odlotów, w kawiarni jemy śniadanie: arranchini albo foccacia i do tego dobra kawa. Po godzinie wsiadamy do samolotu. Po starcie z góry widzimy jeszcze Cieśninę Mesyńską i definitywnie żegnamy słoneczną Sycylię. ■

